NA ZIEMI NASZEJ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Malarz kobiet.

(Franciszek Żmurko i jego twórczość).

W pełni sił i rozwoju władz twórczych odszedł od nas artysta niepospolity, świetny dekorator — Greuze polski, tylko więcej nerwowy i nowoczesny, malarz nigdy nieogadnionej zagadki — kobiety.

Franciszek Żmurko urodził się we Lwowie 1859 r. Był synem znakomitego matematyka i profesora Wawrzyńca. Początkowe nauki pobierał we Lwowie, a studja rysunkowe pod kierunkiem Tepy, który młodemu artyście świetną przepowiadał przyszłość. Zapisuje się potem do Szkoły sztuk pięknych w Krakowie, a po kilku latach udaje się do Wiednia i Monachjum, gdzie za obraz „Kleopatra“ złoty otrzymuje medal. Po powrocie do Krakowa tworzy nowy obraz historyczny „Kazimierz i Esterka“ pod wpływem Matejki i uzyskuje stypendjum na podróż do Włoch od cesarza Franciszka Józefa, który ten obraz oglądał.



Franciszek Żmurko.

We Włoszech wśród zabytków starożytnego świata robi studja do swych obrazów późniejszych, jak „Neron nad zwłokami Agrypiny“, „Sfinks“ i „Śmierć Agrypiny“, oraz przejmuje się nieśmiertelnemi dziełami włoskiego renesansu. Po pół roku zrzeka się zaszczytnego stypendjum i wraca do Krakowa, poczem przenosi się do Warszawy, gdzie pracuje gorączkowo, z coraz większem powodzeniem. Tu znika z jego obrazów Matejkowska historyczność, oraz klasyczność Siemiradzkiego, a miejsce ich zajmuje urok, powab i wdzięk niewieści.

Malarzem kobiety stał się Żmurko, jakiego sztuka polska dotąd nie wydała i wielką lukę w dorobku naszym artystycznym wypełnił; nikt mu nie dorównał w przedstawieniach niewiast, czy to niewinnej jak biała lilja, czy w bujnym rozkwicie piękności ciała, czy kobiet trawionych pożądaniem, czy wampirów złowrogich.

Żmurkę nie pociągała tylko zewnętrzna forma i piękność, ale jej tajemna duchowa żądza i pragnienie.

Wyborna znajomość dzieł malarskich dawnych i nowych mistrzów, wykwintny smak, natura na wskroś artystyczna, gorące umiłowanie sztuki, dar lotnej intuicji, poetycznego na świat patrzenia, a przy tem pewność ręki, szybkość tworzenia, wiele temperamentu oraz sentymentu, a przy tem cała skala barw, tonów od najsubtelniejszych aż do silnych, bijących swoim walorem i w przepysznym kolorycie trzymany miraż malarski i nie uchwytny czar bijący z każdego dzieła, to wszystko jeden wielki pean na cześć kobiety. „Laudamus feminam“, „Pieśń wieczna“, „Przeszłość grzesznika“, „Gwiazda betlejemska“, „Jus primae noctis“, „Dama we futrze“, „Hetera“ i wiele główek niewieścich o subtelnym rysunku, postaci zmysłowo pięknych stanowi artystyczny dorobek Żmurki.

Z dzieł jego wiał czar i urok i ulegano temu u okowi, mimo sarkania na manierę. Bił swoją indywidualnością artystyczną i zachwyt, który budził, wytrzymywał próbę czasu, upodobań i kierunków. Był samym sobą i takim pozostał. Szedł własnemi drogami i doczekał się ustalenia wartości dzieł, które wydał ze siebie. Niedozwolonem mu było tylko wypowiedzieć ostatniego słowa w swej sztuce.

Kompozycje jego są logicznie pomyślane z harmonią formy i treści, w myśl kardynalnej zasady prawdziwego piękna, o której wielu malarzy pragnie zapomnieć i odrzucić jako niepotrzebny balast, szukając tylko nastroju i podniecenia.

Monachijska „grafische Gesellschaft Pick i Comp.“ nabyła wyłączne prawo reprodukcji najsławniejszych jego obrazów i w prześlicznych subtelnych tonach heliograwur rozsyła je po dalekim świecie, a imię jego staje się głośnem i popularnem więcej po za granicami kraju.

Jak Tiepolo, którego uważał za swego mistrza, przeniósł tradycję włoskiego „cinquecento“ w wiek XVIII, tak Żmurko tradycje mistrzów florentyńskich czy weneckich, przenosi w wiek XIX i XX. Dawne srebrne tony znikają powoli, a z nich wyłania się stare złoto renesansu, ktore otacza kobietę, jak kamień szlachetny, drogocenna oprawa.

A w „Pieśni wieczornej“, w jednym z najpiękniejszych jego obrazów, dziś w Ameryce będącym, niewiasty słuchające pieśni otacza blask zachodzącego słońca. Wieje z tego obrazu bezbrzeżna tęsknota i cisza niczem niezmącona rozlega się w przestworzu i jakby smętne tony lutni słychać w oddali.

To pie ń na cześć kobiety.

Żmurko najpiękniejszą pieśń wyśpiewał na cześć kobiety i skroń jej niewiędnącym ozdobił wawrzynem. *Z.*



Pałac Słuszków.

Zrodzona „wśród pagórków leśnych i łąk zielonych“ szeroka, majestatyczna zbliża się ku Wilnu „naszych strumieni rodzica“.

Nad nią, wśród drzew, opasany murem wspaniały pałac magnacki jaśnieje bielą swych ścian i setkami okien przegląda się we wodzie.

Dumne czoło pałacu pieszczą promienie słoneczne, fale kładą mu się do stóp z pokorą.

Gdy krąg słońca zniknie za lasem, a na niebo złoty księżyc wypłynie, leją się z okien pałacu jaskrawe potoki światła. Szeroko otwierają się olbrzymie wrota, tłum gości napełnia krużganki. Dźwięki skocznej muzyki i hucznego wesela lecą hen ku rzece, odbijając się rozgłośnem echem o ścianę bliskiego lasu...

Zwolna mijają biały pałac płynące rzeką tratwy i łodzie rybackie, zasłuchani w muzykę flisacy przyglądają mu się z zachwytem, marząc zazdrośnie o szczęśliwem życiu mieszkańców cudnego pałacu...

Tak było przed stu laty.

Dzisiaj wesołość skonała wraz z wolnością. Prochy Słuszków w dalekiej spoczywają ziemi, a pałac ?..

Biały pałac jak dawniej przegląda się w rzece, mur tylko dokoła niego stał się wyższy, najeżył się kolcami. Gościnne bramy zamknięto lub zamurowano...

Jak dawniej pieszczą czoło pałacu słońca promienie, zaglądają do oczu jego okien. Lecz oczy te dzisiaj smutne, bo u okien krata, a za nią twarze blade, wylękłe...

Bo nie możny ród Słuszków dzisiaj tu panem, a carscy siepacze, bo biały pałac dziś gmachem więziennym...

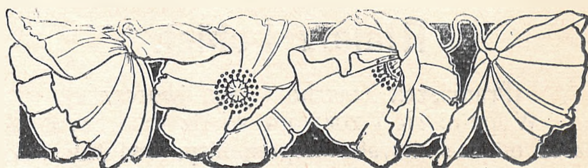
W nocy, miast świateł jarzących, sączy się z okien niektórych mdłe światło kaganków i rozpływa się w otaczającej ciemności. Reszta gmachu stoi martwa i biała niby olbrzymia trupia czaszka ziejąca czarnemi otworami pustych oczodołów.

Z lękiem patrzą teraz na biały pałac flisacy i okoliczni mieszkańcy, z rozpaczą witają go ci, przed któremi ciężkie swe wrota otwiera...

Czy nic się w losach pałacu nie zmieni ?

Wszak kiedyś „słońce swobody zabłyśnie i wiatr zachodni ogrzeje te państwa“, a wtedy...

Es.



Odmłodzenie św. Jura.

Prawie równocześniej trzy lwowskie katedry uległy gruntownej restauracji. Po wandaliźmie dokonanym na katedrze ormiańskiej, który skandalicznem echem rozbrzmiewa dziś jeszcze w prasie codziennej, odnowiła się, w sposób bardzo niefortunny katedra łacińska, a obecnie obłożono gęstą siatką rusztowań katedrę św. Jura, na widomy znak, że przebiera się ona w nową szatę.

Trzy katedry i trzy najstarsze we Lwowie świątynie. Czas obchodził się z nimi tak nielitościwie, że do dziś zostały tylko strzępy i fragmenty dawnych budynków, a ze starej, średniowiecznej cerkwi św. Jura kamień nawet na kamieniu nie został. To co jest, to rezultat wszystkich klęsk, nieszczęść i pożarów, które różnymi czasy Lwów nawiedzały, a równocześnie pomnik upodobań stylowych i gustu ośmnastego wieku, który nad zabytkami dawnych czasów szalał, niszcząc je i w proch rozbijając.

Zdawało się jednak, że odstraszający przykład arcybiskupa Sierakowskiego, który cały prawie swój majątek wyłożył na to, ażeby katedrę łacińską zmodernizować, podziała na jego następców. Tymczasem to co się dzieje obecnie z katedrą ormiańską a i po części z łacińską jest smutnym dowodem, że duchowieństwo nie dorosło do stróżowania najważniejszym zabytkom dawnej architektury.

Co prawda i opinia publiczna z największą obojętnością przyjmuje samowolne zmiany i przeróbki, tam gdzie restauracja zabytków, które przetrwały wiele wieków, jest zadaniem niezwykle trudnem, wymagającem wiele namysłu i dyskusji i w kołach fachowych i w szerszych nawet kołach publiczności.

Fakt rozpoczęcia robót restauracyjnych koło katedry św. Jura minął bez najmniejszej nawet wzmianki dziennikarskiej. Tylko ten lub ów jadąc

tramwajem w stronę dworca kolejowego skonstatuje na widok rusztowań, że coś się robi, a potem gdy rusztowania postoją przez czas dłuższy zapomni, jak dawniej budynek wyglądał, a nowy kształt jego nikogo nie będzie obchodził.

Żal może się obudzić dopiero po niewczasie. Tak w drugiej połowie ośmnastego wieku żałowano we Lwowie powszechnie dawnej cerkwi, którą biskup Atanazy Szeptycki zburzył, wystawiając w jej miejsce nową, w dzisiejszym kształcie. Przypominano sobie wówczas, z jaką siłą musiano rozbijać stare mury z XV. wieku, protestowano uroczyście przeciwko zasypaniu słynnej groty, w której kniaź Wasyliszek żywot pustelniczy prowadził, jak wreszcie przeciw nowym porządkom, zmieniającym zupełnie dawny charakter góry świętojurskiej.

Początek cerkwi św. Jura sięga czasów założenia Lwowa. Pierwotny jednak, dziś nieistniejący budynek powstał w drugiej połowie czternastego wieku. Wzniósł go budowniczy Doring, twórca również katedry ormiańskiej a budowa trwała mniej więcej od r. 1363 do r. 1432.

Dzisiejsza cerkiew jest dziełem metropolity Atanazego Szeptyckiego, według planów Jana de Witte, komendanta Lwowa, a później Kamieńca podolskiego i twórcy lwowskiego kościoła Dominikanów. W r. 1743 rozebrano starą cerkiew, a 1. września r. 1744 kładł Szeptycki kamień węgielny pod nową katedrę, której budowa trwała lat dziesięć.

Cerkiew świętojurska w stylu Ludwika XV. z widocznymi jeszcze śladami baroku, stała się najpiękniejszym i najbardziej majestatycznie położonym budynkiem we Lwowie. Obok niej wystawił biskup Leon Szeptycki w latach 1761 do 1762 nowy, po dziś dzień istniejący pałac biskupi, w czystym stylu roccoco, na wzór słynnego zamku w Würzburgu, a następnie zagospodarował się na górze świętojurskiej, wyrzucając z niej monaster bazyliański i wszystko, co tylko wielowiekową przypominało przeszłość.

Tak tedy trzeci z Szeptyckich, dzisiejszy metropolita Andrzej zabrał się do gruntownego odnowienia dzieła swoich przodków. Roboty ograniczyć się mają tylko do najkonieczniejszych naprawek, których domaga się bezpieczeństwo publiczne, z wykluczeniem wszelkich zmian i „upiększających“ dodatków.

Projekt tych robót wykonany został jeszcze w r. 1905 przez inżyniera namiestnictwa p. Antoniego Topolnickiego, a koszta ich obliczono na 180.000 kor. które następnie Ministerstwo wyznań i oświaty zredukowało i „zaokrągliło“ na 100.000 K.

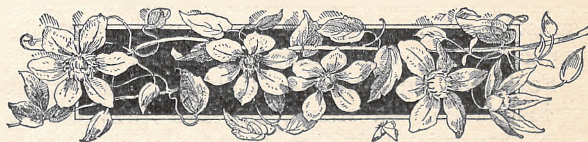
Roboty restauracyjne rozpoczęto od ustawienia olbrzymiego rusztowania, które umożliwiło dostęp do wszystkich części katedry. Komisja grona konserwatorów stwierdziła też daleko większe uszkodzenia fasady, niż to z odległości można było stwierdzić.

W szczególności kamienne gzymsy, balustrady, profile, cokoły, bazy, kapitele, postumenty, wazy, latarnie, figury w wielu bardzo miejscach przedstawiają stan zupełnej prawie ruiny, grożąc rozpadnięciem się i możliwą katastrofą. Ze wszystkich stron okazały się pęknięcia, rysy, odpadająca wyprawa i t. d.

Poprzednia restauracja, wykonana przed laty dwudziestu, była bardzo nieudolna i przeprowadzona po barbarzyńsku. Zadowolono się załataniem dziur cementem, który obecnie strupieszał i odpada. Wiele części kamiennych zatynkowano i pobielono.

Obecnie postanowiono części kamienne, grożące rozpadnięciem się wymienić na nowe, ściśle według starych wzorów z kamienia tarnopolskiego, dalej zabezpieczyć olbrzymią statuę św. Jerzego, zabijającego smoka, główną ozdobę cerkwi.

W roku bieżącym pokryto dach miedzią i wykonano te roboty kamieniarskie, które stoją w związku z robotami blacharskiemi. Restauracja potrwa trzy lata. Kierownictwo nad nią objął inż. p. Antoni Topolnicki, roboty kamieniarskie p. Wojciech Jabłoński. *J.*



Muzykalność w świetle nauki muzyki.

Pomimo, że zapotrzebowanie muzyki ogarnia coraz szersze warstwy społeczne, o czem świadczy powodzenie i wzrost muzycznych instytucji; pomimo, że mnóstwo ludzi pracuje na tem polu, potrzeba poważnej muzyki i wpływ jej w stosunku do uczących się jednostek nie idzie w parze z tym wielkim aparatem pracująco muzycznym.

Lata nauki, tysiące pracujących nie stworzyły ani jednej placówki muzyki poważnej u nas w kraju (z wyjątkiem uczelni).

Nie mamy w Polsce stałej orkiestry symfonicznej, ani fachowo prowadzonej opery, nie mamy zorganizowanych chórów, muzyki kameralnej — jednem słowem nie posiadamy tego, co świadczyć by mogło o potrzebie słuchania muzyki.

Gdzież więc się podziewają te tysiące ludzi kształcących się od wczesnej młodości w muzyce, kiedy sale wieczorów orkiestrowych świecą pustkami, w operze grasują tylko Włosi — cały dobytek muzyczny reprezentuje; stała operetka we Lwowie, zupełny brak muzyki w Krakowie i jedyna symfoniczna orkiestra w Warszawie z wiszącym nad nią mieczem Damoklesa.

Czemże objaśnić taki stan rzeczy?

Muzyka, jako sztuka, leży po za obrębem dającym się bliżej określić. Sprawa niewidzialna jest odbiciem osobistej sfery uczuć i dlatego od chwili wejścia z nią w jakikolwiek kontakt, jesteśmy bardziej zależni od wpływu kierującego nami osobnika, aniżeli w innej sztuce.

Nauczyciel uczący dziecko, może w rozmaity sposób tłumaczyć znaczenie melodji, czy rytmu, dziecko jest też w zupełności zależne od poziomu rozumienia, czy odczuwania muzyki przez nauczyciela.

To ostatnie nie da się przecież zastosować do malarstwa lub rzeźby, które się widzi. Otóż zdaje mi się, że poziom osobnika, uczącego się latami muzyki, a nie mającego potrzeby słuchania muzyki, nie mającego przez cały szereg lat nauki okresów rozwoju w sposobie pojmowania, czy odczuwania muzyki, jest zależny od nieuświadomienia tych, którzy uczą.

Przyjrzyjmy się z bliska temu całemu aparatowi pracy.

Podstawą nauki muzyki jest fortepian. We fortepianie skoncentrowały się wszystkie wysiłki; fortepian utrzymuje wszystkie instytucje muzyczne, fortepian jest osią, w koło której obraca się cała praca muzyczna. Otóż zdaje mi się, że w sposobie zapatrywania się na naukę fortepianową zachodzi wielkie nieporozumienie.

Fortepian należałoby traktować nie tylko jako instrument dla siebie, ale jako przygotowanie do zrozumienia innych form muzyki, t. j. orkiestry, dramatu muzycznego i t. d. Nie na to uczymy się czytać, by poprzestać na elementarzu.

To się da zastosować do muzyki; kilkuletnia praca nad muzyką winna przygotować ucznia do objęcia, zrozumienia różnych form muzycznych — bo tylko to ostatnie może świadczyć o rozwoju.

Zrozumienie muzyki w tych formach może wpłynąć na pogłębienie intelektu uczącego się — jednem słowem wpływa na wyznaczanie muzyce, jako sztuce, stanowiska czynnika kulturalnego.

Tylko taki wynik, może usprawiedliwić ten olbrzymi nakład pracy, czasu i to społeczne stanowisko, jakie muzyka dla siebie wymaga.

Kilku a czasami kilkunastoletnie wtłaczanie w pamięć i palce przeróżnych kompozycji bez objęcia stylu, rodzaju twórczości, bez zrozumienia całokształtu budowy danej kompozycji, ukoronowane patentem lub publicznym występem nie przyczynią się wcale do zrozumienia wielce kulturalnego przeznaczenia muzyki. Długoletnia praca ogranicza się po części do wyuczenia kilku kawałków na pamięć i odznacza się zupełną ignorancją na wytwórczem polu muzycznem. Osobnik taki nie rozumie najłatwiejszego utworu orkiestrowego, nie zna podstawowych praw muzycznych, niezbędnych do ogarnięcia całości artystycznej danego utworu.

Poziom uczącego się, fortepianu lub innego instrumentu rok czy 10 lat w stosunku do zrozumienia muzyki jest prawie ten sam — nie ma okresów rozwoju — nauczenie się na pamięć dat śmierci i życia przeróżnych kompozytorów nie świadczy o zrozumieniu choćby jednego tematu jakiejś symfonji. Celem nauki muzyki winno być wyprowadzenie nie tyle umiejących coś zagrać, ile umiejących słuchać.

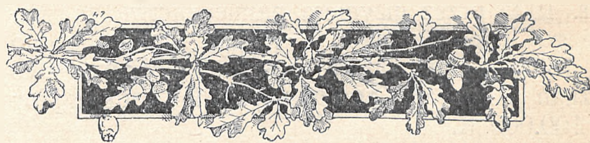
Wielkie usługi oddać może w zaznajamianiu ucznia z wartościowymi utworami uwzględnienie w programach przy utworach ściśle fortepianowych także i wyciągów operowych, symfonicznych i t. d.

Taka praca, poparta odpowiedniem kierownictwem, może nauczyć ucznia orjentacji w budowie danej kompozycji, może w nim wytworzyć samodzielny sąd — i przez zrozumienie tego co słucha, może obudzić potrzebę słuchania poważnej muzyki. Jak w programach szkół wymaganą jest znajomość celniejszych utworów literatury, ich treść, tak i w muzyce osobnik uczący się czas dłuższy powinien być dokładnie informowany przez kierownika o tematach, budowie celniejszych utworów muzycznych.

Niezmiernie ważnym czynnikiem w rozszerzaniu idei muzycznych są występy publiczne. Estrada, to katedra, z której artyści winni głosić utwory wartościowe, czerpane z ogniska europejskiej kultury. I tutaj zachodzą wielkie nieporozumienia. Artyści nie mają odwagi iść przeciw raz przyjętemu szablonowi, stosując się do poziomu słuchaczy nie tylko że poziomu nie podnoszą, ale go obniżają. Reakcja i tu nastąpić musi. Powodzenie wirtuozów, to kwestja krótkiego czasu, zainteresować publiczność może tylko artysta z poczuciem stylu w programie — artysta, umiejący coś nowego powiedzieć z estrady.

Dopóki praca i uświadomienie wielkiego kulturalnego znaczenia muzyki nie wychowa społeczeństwa, pragnącego słuchać muzyki poważnej, dopóki społeczeństwo mocą żywiołowej potrzeby nie wywalczy dla sztuki odpowiednich placówek — dopóty nie możemy mówić o muzykalności u nas w kraju.

Ludomirowa Poraj Różycka.



Pustowójtówna.

(Fr. Rawita Gawroński: Henryka Pustowójtówna. Sylwetka biograficzna. 1838—1881. Lwów 1911.

Henryka Pustowójtówna zamyka szereg kobiet polskich, które, jak one starożytne Amazonki, z bronią w ręku walczyły o wolność ojczyzny. Na tle styczniowego powstania wyrasta jej postać, otoczona legendarnym nimbem i poziomą plotką, entuzjazmem i oszczerstwem równocześnie. Tajemnicze, nie dość zbadane i wyświetlone szczegóły jej życia domowego, a nawet wyznanie religijne sporne, na temat czy na prawosławie była chrzczoną, czy na katolicyzm, dodało jej uroku, otaczającego zwykle bohaterskie postacie. A urok ten otaczał Pustowójtównę już za życia, niecąc ciekawość tak swoich, jak obcych.

Ciekawość jednak nie całkiem była zaspokojona. Nawet dziś gdy p. Fr. Rawita Gawroński zebrał razem wszystkie szczegóły życia „adjutanta" Langiewicza, gdy je oświetlił wielu nieznanymi faktami, trudno byłoby powiedzieć, że o Pustowójtównej wiemy już wszystko, coby wiedzieć należało. Sam autor niniejszej biografii zaznacza braki materjału, ale w każdym razie stało się bardzo dobrze, że właśnie p. Rawita Gawroński podjął się napisania życiorysu tej, bądź co bądź niezwykłej postaci. Głęboki znawca dziejów roku 1863, posiadacz wielu nieznanych materjałów z tej epoki włożył autor w niniejszą, szczupłą rozmiarami pracę, wszystkie zalety swojego pióra, wytrawność sądu a przedewszystkiem żywe odczucie spraw i ludzi tego czasu, co wszystko razem wzięte dodaje książeczce specjalnego uroku a samą postać Pustowójtównej stawia na właściwem a zasłużonem miejscu w historji ostatniego powstania.

Urodzona w r. 1838 w pobliżu Żytomierza, z matki Polki, a ojca Rosjanina, majora koporskiego pułku piechoty, odebrała Henryka Pustowójtówna staranne wychowanie w duchu polskim, w żeńskim instytucie w Puławach. Po powrocie do domu, jako panna na wydaniu, zwracała powszechną na siebie uwagę zarówno salonowem wykształceniem, jak powierzchownością. Miała obfite kasztanowate włosy, czarne wymowne oczy i twarz pełną wyrazu, przytem była obdarzona pięknym głosem, ładnie wcale śpiewała i grała na fortepianie.

Odmówiwszy w r. 1861 swojej ręki jakiemuś oficerowi rosyjskiemu, wyjechała do Lubblina, do swojej babki Kossakowskiej i tu poczuła się cząstką tej wielkiej całości narodowej, która drgnęła nagle nowem życiem. W okresie manifestacyjnym brała gorący udział, uczestniczyła w procesjach, śpiewała hymny narodowe, a w czasie manifestacji w rocznicę unji lubelskiej zwróciła na siebie uwagę generała Chruszczowa, który spowodował rozporządzenie wysłania jej z żandarmami do Moskwy i osadzenie w klasztorze. Scena wyjazdu z Lublina przemieniła się w wielką demonstrację, dzięki jednak prywatnym zabiegom udało się odroczyć termin osadzenia w klasztorze, a w międzyczasie umknęła Pustowójtówna za granicę. Osiadła na razie w Rumunji, w domu pułkownika Zygmunta Miłkowskiego w Michalenach, gdzie znalazła serdeczne przyjęcie.

Wreszcie wybuchło powstanie — i tu dopiero znalazła miejsce stosowne dla swojej energji i temperamentu. Przyłączyła się pod Szydłowcem do oddziału późniejszego generała Langiewicza i przebyła z nim całą kampanję. Rola jej na tem stanowisku była niezmiernie trudna: wszyscy wiedzieli, że jest kobietą, a jednak potrafiła sobie wyrobić taką powagę u współtowarzyszy broni, że po za stosunek stałej koleżańskiej etykiety, nikt posunąć się nie śmiał. Ciesząc się dobrem zdrowiem, znosiła uciążliwe przechody wojskowe, głuchemi i lichemi drogami, bardzo wytrwale; deszcze, błoto po kolana niekiedy, nie szkodziły jej wcale. Ciężkie i niepewne jutra życie obozowe znosiła wytrwale i bez szemrania. Spała gdzie sen ją rzucił, jadła byle co, a raz straciwszy od kuli konia, ośmnaście mil wędrowała wraz z innymi piechotą — bez skarg i narzekań. Taki hart fizyczny, takie znoszenie spokojne ciężkiej równości żołnierskiej, jednało jej zasłużony szacunek. Zapominano, że pod krakowską czapką i kożuszkiem bije serce kobiety. Widziano w niej dobrego kolegę, pełnego poświęcenia i wytrwałości żołnierza.

W czasie bitwy pod Małogoszczą Pustowójtówna siedząc na małym kasztanowatym koniku, z pałaszem w ręku gorącemi słowy wzywała powstańców, ażeby szli naprzód. Wielu zawstydzonych jej słowami — pisze świadek współczesny — wróciło. I tak towarzyszyła Langiewiczowi wszędzie, we wszystkich bitwach dając dowody zarówno odwagi osobistej, jak i roztropności wojskowej. Przykładem posłuszeństwa i rozwagi nieraz potrafiła zażegnać burzę obozową.

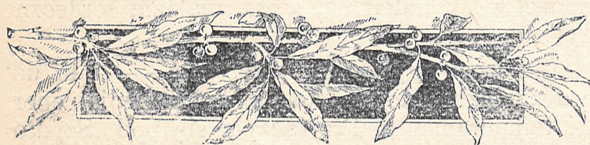
Po przejściu granicy galicyjskiej i rozbrojeniu przez Austrję korpusu Langiewicza, Pustowójtównę osadzono w Siedliszowicach, potem w Tarnowie, a wreszcie w Krakowie, skąd jej pozwolono odjechać, gdzie się jej podoba. Pojechała z więzionym Langiewiczem do Tyrnowic, do Wiednia i Pragi, potem raz jeszcze do Galicji, aby wziąć udział w dalszej walce, a nareszcie po upadku wszystkich nadziei osiadła w Paryżu, gdzie żyła z pracy rąk, trudniąc się wyrobem sztucznych kwiatów.

W czasie oblężenia Paryża w r. 1871 czynną była jako siostra miłosierdzia i za odwagę, pracę i przytomność umysłu, otrzymała krzyż zasługi i dyplom dziękczynny.

W r. 1873 wyszła Pustowójtówna za mąż za doktora medycyny Lewenharda. Zmarła nagle dnia 2 maja 1881, a na kamieniu grobowym na cmentarzu Montparnasse położono jej następują-

cy napis: „Henryka Lewenhard, z domu Pustowójtówna pełna odwagi, energii, poświęcenia w kraju i na wygnaniu, na polu bitwy i w rodzinie“.

Fr. J.



Sztuka graficzna.

Loys Delteill: Manuel de l'Amateur d' estampes du XVIII Siécle (Paryż 1910 Dorbon l' Aini).

Autor tego sporego i ładnie wydanego dzieła, ozdobionego setką plansz oddzielnych, należy do wielkich znawców sztuk graficznych i przy licytacjach artystycznych w Paryżu odgrywa na tem polu rolę eksperta oficjalnego. Od lat kilku prowadzi p. Delteill wydawnictwo p. t.: „Le peintre — graveur illustré“, stanowiące szereg katalogów rozumowanych dzieł grafików oryginalnych wieku XIX; w sześciu tomach tego wydawnictwa, które się dotychczas okazały, między innemi zawarte są szczegółowe opisy dzieł graficznych takich mistrzów, jak Méryon, Corot, Millet, Delacroix, Zorn etc. Obecnie dał nam p. Delteill wyczerpujący podręcznik dziejów sztuki graficznej w wieku XVIII, wielce pożyteczny i prawie niezbędny dla każdego, kto jako amator, zbieracz lub badacz dziedziną tą się zajmuje. Zupełnie wyczerpująco, co prawda, autor traktował tylko Francję, inne zaś państwa, za wyjątkiem jedynie Anglji, kontentować się muszą bardziej pobieżnemi szkicami, miejscami nawet aż nazbyt powierzchownemi, jak n. p. Włochy, gdzie autor tak mało miejsca poświęcił genjalnym utworom Piranesi'ego. Z tego punktu widzenia „Podręcznik“ w tytule swym więcej obiecuje niż daje. Zato grafika francuska wieku Ludwików powstaje przed nami w całym swym blasku i bogactwie, poczynając od należących jeszcze do wieku poprzedniego znakomitych sztycharzy Edelinck'a i Drevet'ów, a kończąc grupą czarujących petits-maitrów w rodzaju, Moreau, Sainttubin'ów, Debucourt'a, Eisen'a, Gravelst'a i t. d. Autor nie ograniczył się nagromadzeniem obfitych dat i danych biograficznych, lecz materjał katalogowy wszędzie ożywia indywidualną oceną historyczno-krytyczną. Wielce cennemi i ciekawemi, zwłaszcza dla kolekcjonerów, są ceny bardziej wybitnych sztychów, kolejno osiągnięte na wielkich licytacjach w przeciągu ostatnich lat kilkudziesięciu, które Delteill skwapliwie podaje w większości wypadków.

Długi poczet artystów w „Podręczniku“ wymienionych, zawiera dwa nazwiska, w bliższym do nas pozostające stosunku — Chodowieckiego i Norblina. Pierwszego, przez pochodzenie swe dla nas drogiego, choć do obcej należy sztuki, p. Delteill stawia na miejsce najprzedniejsze w grafice niemieckiej wieku XVIII, charakteryzując go wielce chwalebną cytatą z dzieła „Les graveurs du XVIII siécle“ barona Portaii i Henryka Beraldi. Ale czy nie należało dodać do tej oceny, że ową zgrabną delikatność i lekkość niezliczonych swych winiet, które tak wyróżniają Chodowieckiego wśród współczesnych mu artystów niemieckich, mistrz gdański zapewne zawdzięcza krwi polskiej? Norblina, nierozerwalnie związanego z dziejami naszej nowszej sztuki, p. Delteill jako grafika mało ceni. Wydaje o nim sąd może zbyt surowy, ale bądźcobądź słuszny, nazywając go „bladym naśladowcą Rembrandta.“

P. Ettinger.



Zwyczaj związany z wieszaniem dzwonów na Rusi.

Jak ważną rolę w obrzędach kościelnych odgrywają dzwony, znane u nas niemal od pierwszych czasów przyjęcia religji chrześcijańskiej, o tem wie każdy przebywający w mieście czy też na wsi. Zwłaszcza po wsiach znaczenie dzwonów jest jeszcze większe ze względu na stosunkowo nieliczne domy boże, których w mieście jest zawsze po kilka. Ważną i dziś jeszcze funkcję spełniają one, będące wymysłem kontemplacyjnego ducha wyznawców Buddy, którym leciuchne pobrzękiwanie srebrnych dzwoneczków, zawieszonych po rogach dachów świątyń, jest akompaniamentem nadziemskiego błąkania rozegzaltowanej duszy po tajemniczych drogach niebieskich. Kiedy nadchodzi godzina wspólnych modłów, rozsypani po wszystkich zakątkach klasztorów mnisi, zgromadzają się razem na odgłos potężnych dźwięków dzwonu i z nabożeństwem odprawiają praktyki religijne przed posągami fantastycznych swych bóstw potężnych.

Nadziemską muzyką zdać się musiały naszym pogańskim przodkom dźwięki poraz pierwszy rozbrzmiewających dzwonów, nieodłącznych towarzyszy licznie wznoszonych świątyń nowej religji chrześcijańskiej. Dzwony grały im jako chrześcijanom kiedy ujrzeli światło dzienne, dzwony codziennie już odtąd ogłaszały godzinę modłów do Boga i one też żegnały żałośnie i smętnie każdego, który syt życia przenosił się w lepsze krainy. Słowem nie małą rolę odegrywały one za czas całego życia przeplatanego bolem i radością. Nastała z dopustu Bożego

posucha lub burza, dzwony pośredniczyły w prośbie jego do Boga o zmiłowanie i odwrócenie nieszczęścia. A już nieocenionymi przyjaciółmi okazywały się one w czasie pożaru lub napadów nieprzyjacielskich. Strażnik, przebywający dniem i nocą na dzwonnicy dawał nimi znak trwogi, na odgłos którego ludzie gromadzili prędko swój cały dobytek i prędko chronili się w niedostępne puszcze i jary. Zamilkłe w ten czas dzwony, radośnie witały chwilę przebytej trwogi i wdzięczne ku niebu słały tony.

Czyż może więc dziwić nas, iż koło osoby dzwonu — bo istotą żyjącą jest dla ludu wiejskiego dzwon z swem sercem ruchliwem i dźwiękami współczującymi — oplotły się najrozmaitsze baśnie i podania, sławiące jednym hymnem jego moc i znaczenie. Nie mało nasłuchaliśmy się w naszej młodości o rozmaitych dzwonach zatopionych i zasypanych, co w spokojne dni świąteczne rozbrzmiewają pod ziemią, nawołując naprożno do świątyń pańskich grzesznych mieszkańców za karę zapadłych wsi i miast wielkich. Dzwony schodzą w baśniach niekiedy z swych wieżyc wysokich, dla wypełnienia woli wszechmogącego. Proszek utarty z jego ciała spiżowego w godzinie północy ma potężną moc leczniczą. Dzwon jest też czemś w rodzaju osoby świętej a w każdym razie jest równy przed Bogiem jak i sam człowiek, bo służąc Mu wiernie, zaraz po swych narodzinach zostaje niejako przyjęty w poczet wiernych, chrzczony imieniem świętego swego orędownika.

Niemałą wobec tego jest troską, iżby dzwon ulany jak najgodniej spełniał rozliczne swe funkcje, przeznaczone mu przez człowieka i zawsze był gotów do szczytnego swego powołania t. j. rozbrzmiewania w jak najdalszych zakątkach okolicy. Tylko dzwon donośny, a miły w dźwięku może służyć Bogu na chwałę, a ludziom ku zadowoleniu. By więc uczynić go jak najdonioślejszym nie wystarcza według pojęć ludu wylać go wielkim i potężnym. Do osiągnięcia tego zna lud ruski jeszcze inny niezawodny środek, o jakim jako niezmiernie ciekawym chcę właśnie pomówić.

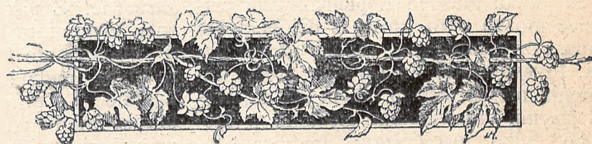
W okolicach miasteczka Załoziec w pow. brodzkim, rozeszła się niedawno wiadomość, podawana z ust do ust przez lud prosty i miejscową inteligencję o przypadkowem wykopaniu przy drodze zwłok jakiegoś mężczyzny, najprawdopodobniej powracającego do swych stron rodzinnych emigranta z Ameryki. Przez długi czas uporczywie krążyła wieść o tem szeroko i daleko od miasta i wszyscy dziwili się niemało, iż sprawą tak zagadkową nie zajęła się zaraz odnośna władza tem bardziej, iż widziano w tem zbrodnię, popełnioną w celu rabunku. Zapytywani żandarmi, stacjonowani w okolicy, nie umieli wyjaśnić tej wiadomości, nie mogąc nawet dopytać się gdzie właściwie natrafiono na owe zagadkowe zwłoki. Mimo dopytywań się o mniemanych świadkow wykopania trupa, nie można było skonstatować istotnego stanu rzeczy, który wyjaśnić zdołano dopiero po niejakim czasie. Kiedy mianowicie rozprawiano w pewnem towarzystwie o tem zajściu, obecny jeden z inteligentniejszych wieśniaków wyjaśnił całą sprawę. Jak się pokazało wieść owa o znalezieniu trupa była najzupełniej wymyślona, a rozpuścili ją umyślnie mieszkańcy bliskiej wsi Olejowej, gdzie własnie w tym czasie święcono, dopiero co na dzwonicy zawieszone dzwony.

Zagadkowym zdawać się może związek, zachodzący między tym obrzędem, a rozniesioną po całej okolicy plotką o odkryciu zwłok zamordowanego, jednak cel tejże był jak najjaśniejszy. Z życia codziennego zauważyli ludzie jak doniosły jest głos „famy stugębnej", co według słów klasycznego poety spokojnie za dnia niewidzialnie ukryta słucha i patrzy na wszystko, ażeby potem roznieść to po całym świecie. Wieść taka ubiegnie zająca i wszędzie zdoła wkrótce dotrzeć, zwłaszcza jeśli rozchodzi o coś nadzwyczajnego. A jakie jest zadanie i cel dzwonu? Czyż nie zanoszenie wesołej czy smutnej nowiny w jak najodleglejsze zakątki kraju?

Głos dzwonu ma być tak donośny i daleki, jak daleko rozchodzi się jakaś wiadomość między ludźmi. W opisywanym wypadku wieść o zmyślonem morderstwie miała oznaczać donioslość dźwięków dzwonu, zawieszonego właśnie na wieżycy. Głos jego rozchodzić się powinien tak daleko, jak daleko dojść zdołała wieść o rozpuszczonej plotce, dyskretnie zamilczanej przez ludzi z Olejowej, którzy nie prędko przyznali się do swego pomysłu, odkrytego zresztą przez innych, świadomych podobnych praktyk. Nie rzadko też można na wsi usłyszeć, na wiadomość o podawanym ogólnie jakimś niewiarygodnem zajściu iż „pewno deś zwony lijut", co n. p. miało miejsce w Samborskiem, gdzie między ludem krążyła jakiś czas wiadomość o zapadnięciu się jakiejś wsi, na miejscu której okazało się wielkie jezioro. Bajkę tę rozpuszczono również z okazji wieszania nowych dzwonów przy cerkwi.

Przytoczony usus, jest jednym z licznych, związanych z dzwonami, a dla swej niezwykłej oryginalności zasługuje na dokładniejsze rozpatrzenia przez kompetentnych do tego badaczy. Niezmiernie pożyteczną rzeczą byłoby monograficzne opracowanie wszelkich przesądów i praktyk, związanych z dzwonami, które rzeczywiście zajmują bardzo poczesne miejsce w świecie legend i podań ludu wiejskiego.

B. Janusz.



PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z czasopism. »*Wiadomości numizmatyczno-archeologiczne*« w Krakowie pod redakcją dra Marjana Gumowskiego zajmują się w kilku ostatnich numerach sprawami nieobojętnymi i dla historyków. Należy do nich dłuższa praca p. Sew. Tymienieckiego p. t.: »Zarysy do dziejów mennic koronnych Zygmunta III. w XVI. w.«, p. Oskara Haleckiego »Herby na brakteatach wielkopolskich«, ks. Konopki »Pieczęcie Jezuitów w Polsce« i w. i. Dla szerszego grona zbieraczy i miłośników przynosi każdy numer sporą wiązankę monet i medali będących do nabycia bądź to w dubletach Muzeum narodowego, bądź też z prywatnego posiadania.

Rocznik Polskiego Towarzystwa krajoznawczego. Warszawa 1908 i 1909. Obydwa te roczniki zawierają rozprawy naukowe z dziedziny krajoznawstwa. Ponieważ zaś następne Roczniki obejmować będą jedynie sprawozdania z czynności Zarządu głównego i oddziałów prowincjonalnych bez dołączania rozpraw krajoznawczych, umieszczanych od 1910 roku w organie Towarzystwa, tygodniku »Ziemi«, więc uważamy za stosowne zwrócić uwagę interesowanych na wspomniane rozprawy.

W roczn. za 1908 r. pomieszczona jest rzecz ś. p. Zygmunta Glogera p. t. »Najstarsze zabytki rolnictwa polskiego«. W rozprawie tej zebrał autor wiadomości znalezionych w Polsce żarnach kamiennych z Mikorzyna (ozdobionych przez niewiadomego sprawcę fałszywemi runami i rysunkami), z Pomorza, Tykocina, Korytnicy i in. Ciekawe jest, iż w Królestwie znajdują przedhistoryczne te żarna wprost całemi nieraz masami, podczas gdy u nas należą one do rzadkości. Do rozprawy dołączona jest fotografja żarn z pod Tykocina.

Bardzo ciekawą i pouczającą jest rozprawa p. Kaz. Kulwieca p. t. »Osobliwości i zabytki przyrody oraz ich ochrona«, w której wykazuje autor wartość i znaczenie konserwacji zabytków przyrody, zastosowanej na wielką skalę w krajach zachodnich. Dr. Gembarzewski zwraca uwagę na »Trzy krzyże na wzgórzu w Kazimierzu lubelskim«, znany zaś badacz przeszłości Inflant G. Mauteuffel zapisuje ciekawe »Podanie Łotwy, o jeziorze Łubaczy w Inflantach polskich.

Na szczególne uwzględnienie zasługuje niewielka monografja Tad. Włoszka »Opactwo benedyktyńskie na Łysej górze«, której dokończenie zajmuje całą literacką część Rocznika z 1909 r. Jest to ciekawie napisana historja sławnego od pierwszych lat chrześcijaństwa w Polsce opactwa świętokrzyskiego, obrobiona na podstawie dzieła uczonego ks. J. Gackiego.

B. J.

NOTATKI.

Sprawa „bożków" z Bosyr w husiatyńskiem. Niedawno temu donieśliśmy o wykopaniu kamiennych figur przy naprawie drogi z Bosyr do Siekierzyniec w pow. husiatyńskim. Według relacji nieznanego bliżej mieszkańca Kociubińczyk »bożki« te wykonane miały być z kamienia ciosowego; jeden z nich przedstawiać ma osobę siedzącą, z dziobem, a drugi głowę byka. Dalej wykopać miano również inne kamienie, mające różne zagłębienia i wypukłości, które jednak nie przedstawiają wyraźnych rysów. Przy dokładnem jednak badaniu udało się stwierdzić wspomnianemu korespondentowi, że rysy te zrobione są ręką ludzką. Wiadomość o tak niezwykłem znalezisku zainteresowała niemało ludzi, oddających się badaniom prehistorji kraju, tem bardziej, iż ze wspomnianych, przez niefachowca poczynionych uwag wnosić można było, że są to t. zw. »baby«, znane w Galicji z kilku niezachowanych dotąd okazów. Sprawą tą zajął się bliżej konserwator dr. K. Hadaczek, którego staraniem przewieziono owe wykopaliska do Lwowa do muz. Dzieduszyckich.

Na miejscu jednak przekonano się niestety, iż te »bożki pogańskie« nie są nie tylko żadnymi bożkami, ale wogóle nawet nie są dziełem rąk ludzkich. Nie małego zasobu fantazji trzeba, iżby w tych kilku głazach zlepieńcowych widzieć można było głowę z dziobem lub inną przypominającą choćby głowę byka. Przewiezione do Lwowa bryły kamienia nie są niczem innem jak najzwyklejszymi, niewielkimi głazami, w których tylko nieokiełzana fantazja człowieka nieznającego się na rzeczy zdołała się dopatrzyć dzieła rąk ludzkich. Co najciekawsze jednak, to szczegół, iż materjał, z którego zrobione są te »bożki« nie jest całkiem kamieniem ciosowym, jak o tem doniesiono; fakt ten, zestawiony z zupełnie nieistniejącem podobieństwem kamieni przywiezionych do Lwowa do bożków, naprowadza jednak na domysł, iż właściwe dwie figury nie dostały się do muzeum, a przywiezione kamienie są temi »innemi mającymi różne zagłębienia i wypukłości, jakie jednak nie przedstawiają wyraźnych rysów«. Opis podobny można całkiem przystosować do kamieni przywiezionych do Lwowa, wobec czego zwróciłby należało uwagę na »bóżki« wykonane z kamienia ciosowego, o jakich wspomina nieznany korespondent. Trudno bowiem przypuścić, iżby w przysłanych kamieniach mógł się ktoś dopatrzeć głowy byka lub ptaka, a zastanawia fakt, iż nie są one bezwarunkowo kamieniem ciosowym. Tak więc mamy do czynienia albo z niepojętą fantazją ludzką, albo właściwe »bożki« nie dostały się do muzeum Dzieduszyckich. Nie mając sposobności sprawdzenia stanu faktycznego, wyrażamy jedynie życzenie wyjaśnienia tych szczególnych wykopalisk, dla dobra archeologji kraju.

Zabytki w urzędzie gminnym w Lubaczowie. Z piśmiennych są: 1. Przywilej Zygmunta I, dan w Krakowie (feria quinta ante festum sancti St. n slai r. 15.3), nadaje miastu prawo magdeburskie i prawo warzenia i trzymania miodu i wina — dobrze zachowany, pieczęć oryginalna mniejsza na wosku; 2. Przywilej Zygmunta Augusta, dan w Warszawie 26. kwietnia 1564, potwierdza poprzednie przywileje i nadaje miastu jarmarki — nieco uszkodzony, pieczęć mniejsza na wosku; 3. Przywilej Stefana Batorego, dan we Lwowie 12. lipca 1578, b. dobrze zachowany z pieczęcią mniejszą królewską, w wosku. Wewnątrz bardzo ciekawy inicjał »S«; 4. Przywilej Zygmunta III, w Warszawie 2 . kwietnia 1589, bez pieczęci, dobrze zachowany; 5. Przywilej Władysława IV dan w Warszawie pieczęć woskowa mniejsza w blaszanem pudełku; 6. Przywilej Władysława IV, dan w Warszawie 10. marca 1632 r., dobrze zachowany, pieczęć wielka królewska. 7 Przywilej Władysława IV. dan w Karkowie 12. marca 1630, bardzo dobrze zachowany, bez pieczęci, tylko sznurek zachowany 8. Przywilej Michała Korybuta z 17 listopada 1669 r. dan w Krakowie, dobrze zachowany. 9. Przywilej Augusta II. 25 lipca 1720. 10. Przywilej Augusta III z r. 1748. Wszystkie one dotyczą potwierdzenia praw. m. Lubaczowa, przyczem niektóre tylko zawierają pewną wzmiankę o stosunkach danej chwili n. p. w przywileju Augusta II czytamy, »wskutek zarazy morowej i łupiestwa żołnierzy, było miasto tak zniszczone, że wielu gospodarzy domy swoje w rynku pozostawiało, a wyniosło się do innych miejsc«. Znajduje się również w urzędzie gminnym skrzynia staroświecka o 6 skrytkach, bardzo dobrze zachowana, t. z. »elektorska«.

Na strychu zaś znajduje się też nieco starych aktów. *Karol Notz.*

Z „Drukarni Polskiej". Nakładem „Kurjera Lwowskiego.